

Honoré de Balzac



Sarrasine

Honoré de Balzac

Sarrasine

Przełożył Tadeusz Boy-Żeleński

.....

Fundacja Festina Lente

*Panu Karolowi De Bernard Du Grailjardies,
czerwiec 1839.*

Bylem pogrążony w głębokiej zadumie, jaka ogarnia każdego, nawet płochego człowieka pośród najhuczniejszej zabawy. Północ wybiła na wieży Elysee–Bourbon. Siedząc we framudze okna, ukryty za fałdami jedwabnej portiery, mogłem do woli przyglądać się ogrodowi pałacu, w którym spędzałem wieczór. Drzewa na wpół pokryte śniegiem odcinały się słabo na szarym tle chmurnego nieba, zaledwie pobielonego księżycem. Oglądane na tle tej widmowej atmosfery, podobne były nieco do owych upiorów na wpół zawiniętych w swoje całuny; był to niby olbrzymi obraz słynnego tańca szkieletów. Następnie, obracając się w inną stronę, mogłem podziwiać taniec żywych – wspaniałe salon o ścianach złotych i srebrnych, o błyszczących świecznikach, jarzących się od świec. Tam kłębiły się, poruszały i bujały najpiękniejsze kobiety Paryża, najbogatsze, najświetniej utytułowane, olśniewające, imponujące, migocące diamentami, z kwiatami na głowie, na piersi, we włosach, usianymi na sukni lub w girlandach u ich stóp. Lekki dreszcz rozkoszy, lubieżne ruchy, od których drżały koronki, blondyny, muśliny dokoła ich delikatnych bioder. Parę zbyt żywych spojrzeń przebijało tu i tam, ćmiło światła, ogień diamentów i podsycalo jeszcze nazbyt już płomienne serca. Widziało się skinienia głowy znaczące dla kochanków, a złowrogie dla mężów. Podniesione głosy graczy przy każdym nieprzewidzianym obrocie, dźwięk złota mieszały się z muzyką, ze szmerem rozmów, aby do reszty oszołomić ten tłum, upojony wszystkim, co może być kuszącego na świecie. Opary

perfum i atmosfera powszechnego szału drażniły jeszcze rozigrane wyobraźnie. Tak więc po prawej ręce miałem posępny i milczący obraz śmierci, po lewej – salonowe bachanalie życia. Tu natura zimna, martwa, w żałobie, tam ludzie w pełni radości. Ja, na granicy tych obrazów tak różnych, które, tysiąc razy powtarzając się na rozmaite sposoby, czynią Paryż miastem najzabawniejszym i najfilozoficzniejszym w świecie, przyrządzałem sobie moralną sałatkę, na wpół ucieszoną, na wpół posępną. Jedną nogą wybijałem takt, drugą – zdawało mi się – tkwiłem w trumnie. Noga moja była w istocie skostniała od zimnego podmuchu koło okna. Rzecz dość częsta na balu: pół ciała marznie, gdy druga połowa odczuwa wilgotne ciepło salonu.

– Wszak to niedawno, jak pan de Lanty posiada ten pałac?

– Owszem. Będzie już blisko dziesięć lat, jak marszałek de Carigliano mu go sprzedał...

– A!

– Ci ludzie muszą posiadać olbrzymi majątek?

– Oczywiście, że tak.

– Co za bal!

Bezczelny zbytek!

– Czy pan myśli, że są tak bogaci jak Nucingen albo Gondre?

– Ależ... czy pan tego nie wie?

Wychyliłem głowę i poznałem rozmawiających; byli z tej plejady ciekawych, którzy w Paryżu zajmują się ustawicznie owymi: Czemu? Jak?

Kto to? Co to się stało? Co ona zrobiła? Zniżyli głos i oddalili się, aby rozmawiać swobodniej na samotnej kanapie. Nigdy plotkarze i ciekawscy nie mieli bogatszej kopalni. Nikt nie wiedział, z jakich stron pochodzi rodzina de Lanty ani z jakiego handlu, z jakiej grabieży, z jakiego rozboju lub jakiego spadku pochodzi majątek szacowany na wiele milionów. Wszyscy członkowie tej rodziny mówili po włosku, po francusku, po hiszpańsku, po angielsku i po niemiecku na tyle dobrze, aby pozwolić przypuszczać, że musieli długo przebywać w tych rozmaitych krajach. Cyganie? Przemysłowcy?

– Gdyby i diabły – powiadali młodzi wyjadacze – przyjmują cudownie.

– Choćby hrabia de Lanty ograbił jakiego pohańca, ożeniłbym się z jego córką! – wykrzyknął jakiś filozof.

Któż by się nie ożenił z Marianiną, dziewczyną szesnastoletnią, której piękność wcielała bajeczne sny wschodnich poematów? Jak córka sułtana w bajce o czarodziejskiej lampie, tak ona powinna by nosić zasłonę. Przy śpiewie jej bladły półtalenty wszystkich słynnych Malibran, Sontag, Fodor, u których jedna, dominująca zaleta zawsze niweczyła perfekcję całości, gdy Marianina umiała łączyć w równym stopniu czystość dźwięku, wrażliwość, trafność gestu i akcentu, duszę i wiedzę, dokładność i uczucie. Dziewczyna ta była ideałem owej tajemnej poezji, wspólnego węzła wszystkich sztuk; poezji uchodzącej zawsze przed tymi, którzy jej szukają. Słodka i skromna, wykształcona i dowcipna, jeżeli przy kim mogła gasnąć, to chyba przy matce.

Czy spotkaliście kiedy owe kobiety, których triumfalna piękność urąga zębowi czasu i które, w trzydziestym szóstym roku, zdają się pożądańsze, niż mogły być piętnaście lat wprzód? Twarz ich jest niby namiętna dusza, iskrzy się; każdy jej rys lśni inteligencją; każda pora posiada swoisty blask, zwłaszcza w świetle. Ich uroczone oczy wabią, odtrącają, mówią lub milczą; chód ich jest niewinnie wyrafinowany, głos ich rozwija melodyjne bogactwa najzalatniej słodkich i tkliwych tonów. Pochwała ich, wsparta na porównaniach, głaszcze najdrażliwszą próżność. Drgnienie ich brwi, najłżejszy błysk oka, ściągnięcie ust budzą grozę w tych, którzy w takiej kobiecie złożyli swoje życie i szczęście.

Niedoświadczona w miłości, wrażliwa na słowa młoda dziewczyna może dać się uwieść, ale dla tego rodzaju kobiet mężczyzna musi umieć, jak pan de Jaucourt, nie krzyczeć, kiedy, schowanemu w alkowie, pokojówka zmiążdży dwa palce drzwiami. Kochać te przemożne syreny czyż nie znaczy stawiać na kartę swoje życie? I oto może czemu kochamy je tak namiętnie! Taką była hrabina de Lanty.

Filippo, brat Marianiny, miał jak siostra cudowną urodę po matce.

Aby wszystko zawrzeć w jednym słowie, młody ten człowiek był żywym obrazem Antinousa, przy delikatniejszych formach.

Ale jak te szczupłe i delikatne proporcje cudownie godzą się z młodością, kiedy oliwkowa cera, energiczne brwi i płomień aksamitnego oka wróżą męskie namiętności i górne myśli! Jeżeli

Filippo żył w sercu wszystkich młodych panien jako mężczyzna, żył znowu w pamięci wszystkich matek jako najlepsza partia we Francji.

Uroda, majątek, inteligencja, wdzięk tych dwojga dzieci pochodziły wyłącznie od matki. Hrabia de Lanty był mały, brzydki i wątpy, posepny jak Hiszpan, nudny jak bankier. Uchodził zresztą za głębokiego polityka, może dlatego, że się śmiał rzadko i że zawsze cytował Metternicha albo Wellingtona.

Ta tajemnicza rodzina miała cały urok poematu lorda Byrona, którego zawilości tłumaczyła każda osoba wielkiego świata odmiennie: hymn ciemny i wzniosły w każdej strofie. Dyskrecja, jaką oboje państwo de Lanty zachowywali co do swego pochodzenia, co do swej przeszłej egzystencji i swoich stosunków w czterech częściach świata, niedługo była w Paryżu przedmiotem zdziwienia. Nigdzie może nie urzeczywistnia się lepiej aksjomat Wespazjana: pecunia non olet. Tutaj nawet dukaty splamione krwią i błotem nie zdradzają nic, a wcielają wszystko. Byłe wielki świat znał cyfrę twego majątku, umieści cię między sumami, które ci są równe; nikt nie żąda pokazania twoich pergaminów, ponieważ każdy wie, jak mało one kosztują. W mieście, w którym problemy społeczne rozwiązują się za pomocą równań algebraicznych, awanturnicy mają wszelkie szansę. Gdyby nawet ta rodzina pochodziła z Cyganów, była tak bogata, tak urocza, że wielki świat mógł doskonale przebaczyć jej drobne sekrety. Ale, na nieszczęście, zagadkowa historia rodu Lanty stanowiła ustawiczny przedmiot ciekawości, dość podobny do romansów Anny Radcliffe.

Obserwatorzy – owi ludzie, którym zależy na wiadomości, w jakim magazynie kupujecie świeczniki, lub którzy was pytają o cenę komornego, kiedy się im podoba wasz apartament – dostrzegali od czasu do czasu, wśród zabaw, koncertów, balów, rautów wydawanych przez hrabinę, obecność dziwnej postaci. Był to mężczyzna. Pierwszy raz pojawił się w pałacu podczas koncertu; rzekłbyś, że go ściągnął do salonu czarodziejski głos Marianiny.

– Od jakiejś chwili zimno mi jest – rzekła do sąsiadki dama siedząca blisko drzwi.

Nieznajomy, który stał obok tej kobiety, odszedł.

– To szczególne! Gorąco mi – rzekła ta kobieta po odejściu nieznajomego. – Weźmiesz to może za szaleństwo, ale nie mogę się

pozbyć myśli, że to mój sąsiad, ten czarno ubrany pan, który właśnie odszedł, był przyczyną tego zimna.

Niebawem przesada zwyczajna ludziom z wielkiego świata zrodziła i nagromadziła najpociesniejsze pomysły, najdziwaczniejsze określenia, najdziksze bajki na temat tajemniczej osobistości. Nie będąc, w ścisłym znaczeniu, wampirem, gulem, homunkulusem, rodzajem Fausta albo leśnego Puka, miał on, zdaniem ludzi zamiłowanych w fantastyczności, coś ze wszystkich tych ucłowieczonych postaci. Zdarzał się tu i ówdzie jakiś Niemiec, który brał za rzeczywistość te sprytnie żarciki paryskiej plotki. Obcy był po prostu *starcem*. Wielu z tych młodych ludzi, nawykłych rozstrzygać co rano przyszłość Europy w paru dowcipnych powiedzeniach, chciało widzieć w nieznanym wielkiego zbrodniarza, posiadacza olbrzymich skarbów.

Romansopisarze opowiadali życie tego starca i podawali doprawdy ciekawe szczegóły okropności popełnionych przez niego w czasach, gdy był w służbie księcia Mysory w Dekanie. Bankierzy, ludzie bardziej pozytywni, komponowali swoją bajkę.

– Ba! – powiadali wruszając litościwym ruchem szerokimi ramionami – ten mały staruszek to *głowa genueńska!*

– Proszę pana, jeśli to nie jest niedyskrecją, czy mógłby mi pan wytłumaczyć, co to pan rozumie pod głową genueńską?

– To człowiek, na którego życiu zahipotekowane są olbrzymie kapitały i od którego zdrowia zależą z pewnością dochody tej rodziny.

Przypominam sobie, że słyszałem u pani d'Espard magnetyzera, dowodzącego za pomocą bardzo osobliwych historycznych argumentów, że ten starzec włożony za szkło to słynny Balsamo, zwany Cagliostrem.

Wedle tego nowoczesnego alchemika, awanturnik sycylijski uniknął śmierci i zabawiał się robieniem złota dla swoich wnuków. Wreszcie poseł de Ferette twierdził, że poznaje w tej szczególnej osobistości skandalizującego hrabiego de Saint Germain. Głupstwa te mówione dowcipnym tonem, z drwiącą miną, tak znamioną w naszej epoce dla społeczeństwa niedowiarków, podtrzymywały mglistą legendą rodziny de Lanty. Szczególnym zbiegiem okoliczności członkowie tej rodziny sami usprawiedliwiali domysły świata, odnosząc się w dość tajemniczy sposób do tego starca, którego życie umykało się niejako wszelkim dociekaniom.

Ilekcroć człowiek ten przekraczał próg apartamentu, który widocznie zajmował w pałacu Lanty, jego obecność sprawiała zawsze wielkie wrażenie w rodzinie. Rzekłbyś, wydarzenie wielkiej doniosłości. Filippo, Marianina, pani de Lanty i stary służący mieli wyłączny przywilej pomagać nieznanemu iść, wstawać, siadać. Każdy czuwał nad jego najlżejszym poruszeniem. Zdawałoby się, że to jakaś zaczarowana osoba, od której zależy szczęście, życie lub mienie wszystkich. Czy to była obawa, czy przywiązanie? Ciekawscy nie mogli stworzyć żadnej hipotezy, która by im pomogła do rozwiązania tej zagadki.

Ukryty całe miesiące w głębi nieznanego sanktuarium, ten *genius loci* wyłaniał się nagle jak gdyby ukradkiem, nieoczekiwany, i zjawiał się w salonach jak owe bajeczne wróżki, które schodziły ze swych latających smoków, aby mieć uroczystość, na którą ich nie zaproszono. Jedynie najwytrawniejsi obserwatorzy mogli odgadnąć niepokój gospodarzy domu, którzy umieli skrywać swoje uczucia z osobliwą zręcznością. Ale czasami, biorąc udział w jakimś kadrylu, zbyt szczerza Marianina rzucała wystraszone spojrzenie na starca, którego wciąż śledziła wzrokiem. To znów Filippo pomykał, ślizgając się, przez tłum, aby go dopaść, i stał przy nim tkliwy i baczny, jak gdyby zetknięcie z ludźmi lub najmniejszy powiew miały złamać tę dziwną postać. Hrabina starała się zbliżyć do starca tak, aby nie znać było jej intencji; po czym obejściem i fizjonomią wyrażając tyleż pokory, co tkliwości, tyleż uległości, co despotyzmu, mówiła parę słów, którym starzec prawie zawsze był posłuszny: zniknął wyprawiony lub – aby rzec lepiej – wyniesiony przez nią. Jeżeli pani de Lanty nie było w pobliżu, hrabia używał tysiąca sztuczek, aby się do niego zbliżyć; robiło to wrażenie, że z trudnością zyskuje posłuch, traktował go jak zepsute dziecko, którego kaprysom matka ulega w obawie dąsów. Kiedy ktoś niedyskretny pozwolił sobie zagadnąć niebacznie hrabiego de Lanty, zimny ten i sztywny człowiek zawsze udawał, że nie rozumie. Toteż po wielu usiłowaniach, obróconych wniwecz odpornością całej rodziny, nikt nie próbował już dochodzić tak dobrze strzeżonej tajemnicy. Szpiedzy z wielkiego świata, ciekawscy i spryciarze, znużeni, doszli w końcu do tego, że przestali się zajmować tą zagadką.

Ale w tej chwili znajdował się może w tych lśniących salonach jaki filozof, który, spożywając lody, sorbet lub stawiając na konsoli szklankę po wypitym ponczu, powiadał:

– Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że ci ludzie to hultaje. Ten stary, który się kryje i pokazuje się jedynie na nowiu, wygląda mi na opryszka...

– Albo na bankruta...

– To mniej więcej jedno. Zabić majątek człowieka to niekiedy gorzej niż zabić jego samego.

– Panie, ja postawiłem dwadzieścia ludwików, należy mi się czterdzieści.

– Na honor, zostało tylko trzydzieści na stole...

– Ot, widzi pan, jakie tu mieszane towarzystwo. Nie można tu grać.

– To prawda. Ale to już będzie niedługo pół roku, jak nie widzieliśmy Ducha. Czy pan myśli, że to żywa istota?

– Hehe! O tyle, o ile...

Te ostatnie słowa wymienili dokoła mnie nieznajomi, którzy odeszli w chwili, gdy w ostatniej myśli streszczałem moje refleksje koloru białego i czarnego, koloru życia i śmierci. Moja szalona wyobraźnia zarówno jak moje oczy spoglądały kolejno i na zabawę dochodzącą szczytu, i na posępny obraz ogrodu. Nie wiem, jak długo dumałem nad tymi dwiema stronami ludzkiego medalu, ale nagle obudził mnie zdławiony śmiech młodej kobiety. Stałem w zdumieniu na widok, który nastroczył się moim oczom. Przez jeden z najrzadszych kaprysów natury półżalobna myśl, którą toczyłem w mózgu, wyszła zeń, znajdowała się przede mną, ucieleśniona, żywa, wytrysła jak Minerwa z głowy Jowisza; wielka i silna, miała równocześnie sto lat i dwadzieścia dwa lata, była żywa i umarła. Wyrwawszy się ze swego pokoju jak wariat ze swej celi, starowina wśliznął się zręcznie za szpaler gości słuchających łakomie głosu Marianiny, która kończyła kawatynę z "Tankreda" Rossiniego. Zdawało się, że wyszedł spod ziemi, poruszany jakimś teatralnym mechanizmem. Nieruchomy i posępny, stał chwilę patrząc na tę zabawę, której szmer doszedł może jego uszu. Uwaga jego, niemal somnambuliczna, była tak skupiona na rzeczach, iż znajdował się pośród świata, nie widząc świata. Wyrósł bez ceremonii obok jednej z najbardziej czarujących kobiet w Paryżu, młodej i wykwintnej

tancerki o delikatnych kształtach, z twarzą tak świeżą jak twarz dziecka, białą i różową, tak delikatną, tak przejrzystą, że spojrzenie mężczyzny powinno by ją przebić, jak promienie słońca przenikają czysty lód. Stali przede mną, tuż przy sobie, tak ściśnięci, że nieznajomy ocierał się i o suknię z gazy, i o girlandy kwiatów, i o lekko sfalowane włosy, i o bujającą szarfę.

Przyprowadziłem tę młodą kobietę na bal do pani de Lanty. Ponieważ była pierwszy raz w tym domu, darowałem jej ten zdławiony śmiech, ale dałem jej żywo jakiś znak, który zmieszał ją i natchnął szacunkiem dla sąsiada. Siadła koło mnie. Starzec nie chciał już opuścić tej rozkosznej istoty, do której przyczepił się z owym niemym i niewytłumaczonym na pozór uporem, do jakiego zdolni są ludzie bardzo starzy, podobni w tym do dzieci. Aby usiąść koło młodej damy, musiał wziąć fotel. W najmniejszym jego ruchu była owa zimna ociężałość, owo tępe niezdecydowanie, cechujące ruchy paralytyka. Usiadł wolno, ostrożnie, mamrocąc jakieś niezrozumiałe słowa. Jego starczy głos podobny był do szelestu, jaki wydaje kamień wpadając w studnię. Młoda kobieta uścisnęła żywo moją rękę, jak gdyby się uczuła nad brzegiem przepaści, i zadrżała, kiedy ten człowiek, na którego patrzała, obrócił na nią parę oczu bez ciepła, parę bladoniebieskich oczu, które można było porównać jedynie z matową masą perłową.

- Boję się – rzekła nachylając się do mnie.
- Może pani mówić – odparłem. – On bardzo źle słyszy.
- Więc pan go zna?
- Tak.

Odważyła się wówczas na tyle, aby przyjrzeć się chwilę tej postaci bez nazwy w języku ludzkim, formie bez materii, istocie bez życia lub życiu bez ruchu. Była pod czarem owej trwożliwej ciekawości, która popycha kobiety do stwarzania sobie niebezpiecznych wzruszeń, oglądania tygrysów na łańcuchu, przyglądania się węzom boa, w przerażeniu, że dzieli je od niego jedynie cienka bariera. Mimo że staruszek miał grzbiet zgięty jak grzbiet wyrobnika, znać było, że jest normalnego wzrostu. Jego nadzwyczajna chudość, delikatność jego członków świadczyły, że zawsze musiał być smukły. Miał czarne, jedwabne spodnie, które wisiały na jego wychudłych udach niby opadły żagiel. Anatom rozpoznałby z pewnością znamiona straszliwego wychudzenia patrząc

na cienkie nóżki podtrzymujące to dziwne ciało. Rzekłbyś, dwie kości złożone na krzyż na grobie. Serce ścisnęło się uczuciem głębokiego wstrętu do człowieka, kiedy się oglądało schyłkowe znamiona tej maszyny ludzkiej.

Nieznajomy miał białą kamizelkę staromodnie haftowaną złotem; bielizna była lśniącej białości. Żabot z angielskiej koronki, nieco zrudziałej, ale której bogactwa pozazdrościłaby królowa, układał się w żółtawych fałdach na jego piersi; na nim jednak koronka ta zdawała się raczej łańcem niż strojem. W żabocie tym diament bez ceny błyszczał niby słońce. Ten antyczny zabytek, skarb bogaty i bez smaku, tym lepiej uwydatniał twarz dziwnej istoty. Rama godna portretu. Czarna twarz była koścista i zapadła na każdy sposób. Broda była zapadła, skronie zapadłe, oczy gubiły się w żółtych oczodołach. Szczęki, wystające wskutek tej nieopisanej chudości, znaczyły się wklęsłymi jamami na obu policzkach. Nierówności te, mniej lub więcej uwydatnione grą światła, tworzyły dziwne cienie i refleksy, które do reszty odejmowały owej twarzy cechy ludzkie. Przy tym wiek tak silnie przykleił do kości żółtą i cienką skórę twarzy" że rysowała się ona wszędzie mnóstwem zmarszczek, albo okrężnych jak kręgi wody zmaconej rzuconym przez dziecko kamieniem, albo gwiaździstych jak pęknięcie szyby, ale zawsze głębokich i gęstych jak kartki w książce. Bywają starcy, którzy przedstawiają wstrętniejszy widok; ale co najbardziej upodabniało do sztucznego tworu tego zjawiającego się w salonie upióra, to róż i blansz, od których błyszczał. Brwi jego maski nabierały w świetle lamp połysku, zdradzającego wybornie wykonaną malaturę. Szczęściem dla oczu osmuconych tyłoma ruinami, trupia jego czaszka kryła się pod blond peruką, której niezliczone pukle świadczyły o niezwykłej pretensji. Zresztą, kobieca kokieteria tej fantastycznej osobistości dość wymownie znaczyła się zwisającymi z uszu złotymi kolczykami, pierścionkami, których cudowne kamienie błyszczały na kościstych palcach, i łańcuszkiem od zegarka migocącym jak ogniwa koliai na szyi kobiety. Wreszcie, to coś w rodzaju bożka japońskiego miało na sinawych wargach wiecznie zastygły śmiech, nieubłagany i drwiący niby śmiech trupiej głowy. Milczący, nieruchomy jak posąg, wydzielał piżmowy zapach starych sukien, które spadkobiercy jakiejś księżnej wyciągają z szuflady przy sporządzaniu inwentarza. Kiedy starzec obracał oczy na zebranych, zdawało się, że ruchy tych gałek

niezdolnych odbijać blasku spełniają się mocą niedostrzegalnej mechaniki; kiedy zaś oczy zatrzymywały się, ten, kto na nie patrzył, wątpił w końcu, czy się poruszyły. Widzieć koło tych szczątków ludzkich młodą kobietę, której szyja, ramiona i biust były nagie i białe, której pełne i kwitnące pięknnością kształty, której włosy wyrastające z alabastrowego czoła przyzywały miłość, której oczy nie chłoneły, ale rozlewały światło, której faliste pukle i wonny oddech zdawały się zbyt ciężkie, zbyt twarde, zbyt mocne dla tego cienia, dla tego człowieka obróconego w proch! Och, tak! To było życie i śmierć, moja myśl, kaprys wyobraźni, chimera do połowy wstrętna, powyżej zaś cudownie kobieca.

„Istnieją wszakże takie małżeństwa i kojarzą się dość często w tym świecie” – rzekłem sobie.

– Czuć go cmentarzem – wykrzyknęła młoda kobieta przerażona, przyciskając się do mnie jak gdyby dla zapewnienia sobie mojej opieki, a bezładne jej ruchy świadczyły, że bardzo się boi. – To straszna wizja – dodała – niepodobna mi tu zostać dłużej. Jeśli jeszcze będę nań patrzyła, uwierzę, że to sama śmierć przyszła po mnie. Ale czy on żyje?

Dotknęła ręką tej zjawy z ową śmiałością, jaką kobiety czerpią w żywości swoich pragnień; ale zimny pot uperlił jej pory, skoro tylko bowiem dotknęła starca, usłyszała krzyk podobny do zgrzytu grzechotki. Ten ostry głos – o ile to był głos – wydarł się z gardła niemal wyschłego. Następnie, po tym krzyku, nastąpił żywy kaszelek dziecinny, konwulsyjny i szczególnie donośny. Na ten głos Marianina, Filippo i pani de Lanty spojrzeli na nas, a spojrzenia ich były niby błyskawice. Młoda kobieta byłaby chciała znaleźć się na dnie Sekwany.

Ujęła moje ramię i pociągnęła mnie do buduaru. Mężczyźni, kobiety, wszyscy uczynili nam miejsce. Minawszy apartamenty recepcyjne, weszliśmy do małego, półkolistego gabinetu. Towarzyszka moja rzuciła się na sofę, drżąc z przerażenia, nie wiedząc, gdzie się znajduje.

– Pani – rzekłem – pani oszalała.

– Ależ – odparła po chwili milczenia, przez którą podziwiałem ją – czy to moja wina? Czemu pani de Lanty pozwala błądzić upiorom po swoim pałacu?

– Ech – odparłem – powtarza pani koncepty głupców. Bierze pani starowinę za widmo.

– Cicho pan bądź – odparła z ową stanowczą i drwiącą miną, którą kobiety tak dobrze umieją przybierać, kiedy chcą mieć słuszność. – Co za śliczny buduarzek! – wykrzyknęła spoglądając dokoła. – Błękitny atłas cudownie zawsze wygląda na obiciu. Jakie to świeże! Och, cudny obraz! – dodała podnosząc się i stając przed wspaniale oprawnym płótnem.

Staliśmy jakiś czas w kontemplacji tego cudu, który zdawał się dziełem jakiegoś nadprzyrodzonego pędzla. Obraz przedstawiał Adonisa wyciągniętego na lwiej skórze. Lampa, zawieszona w środku buduaru w alabastrowej ampli, oświetlała w tej chwili to płótno łagodnym blaskiem, który pozwolił nam ogarnąć wszystkie piękności obrazu.

– Czyż istnieje istota tak doskonała? – spytała oceniwszy, nie bez lubego uśmiechu zadowolenia, rozkoszny wdzięk linii, pozę, kolor włosów, słowem: wszystko.

– Za piękny jest na mężczyznę – dodała po egzaminie podobnym temu, jakiemu poddałaby rywalkę.

Och! Jakież odczułem wówczas ukłucia owej zazdrości, o której istnieniu pewien poeta na próżno chciał mnie przekonać!

Zazdrości o ryciny, o obrazy, o posągi, na których artyści przesadzają piękność ludzką, pod wpływem zasady, która im każe wszystko idealizować.

– To portret – odparłem. – Stworzył go talent Viena. Ale ten wielki malarz nigdy nie widział oryginału i podziw pani będzie mniej żywy, kiedy się pani dowie, że ten akt namalowano z posągu kobiety.

– Ale kto to jest?

Zawahałem się.

– Chcę wiedzieć – rzekła żywo.

– Sądzę – rzekłem – że ten Adonis przedstawia... pewnego... krewnego pani de Lanty.

Patrzałem z bólem, jak ona tonie w kontemplacji tej twarzy. Siadła w milczeniu, ja siadłem koło niej i wziąłem ją za rękę; nie zauważyła tego!

Zapomniany dla portretu! W tej chwili lekki szmer kroków i szelest sukni kobiecej rozległy się w ciszy. Ujrzelśmy młodą Marianinę, jeszcze strojnieszczą swoim wyrazem niewinności niż

wdziękiem i świeżością toalety. Szła wolno i prowadziła z macierzyńskim staraniem, z troskliwością córki wystrojonego upiora, który nas wypłoszył z salonu. Prowadziła go, patrząc z odcieniem niepokoju, jak wolno stawia swoje wątle nogi. Oboje dotarli z pewnym mozołem do drzwi ukrytych w obiciu. Marianina zapukała do nich lekko.

Natychmiast zjawił się, jakby czarami, wysoki chudy człowiek, rodzaj domowego ducha. Nim powierzyła starca temu tajemniczemu stróżowi, dziewczyna ucałowała z szacunkiem chodzącego trupa, a czysty jej pocałunek nie był wolny od owej wdzięcznej przymilności, której tajemnicę posiadało niewiele wybranych kobiet.

– Addio, addio! – mówiła najczarowniejszym akcentem swego młodego głosu.

Dodała nawet do ostatniej sylaby tryl cudownie wykonany, ale z cicha, jak gdyby chcąc dać poetyczny wyraz tkliwości swego serca. Starzec, rażony nagle jakimś wspomnieniem, pozostał na progu tego tajemniczego schronienia.

Usłyszeliśmy wówczas, dzięki głębokiej ciszy, ciężkie westchnienie, które wyszło z jego piersi: ściągnął najpiękniejszy z pierścionków, które tkwiły na palcach jego szkieletu i złożył go na łonie Marianiny. Młoda wariatka zaczęła się śmiać, wsunęła pierścień przez rękawiczkę na palec i pobiegła żywo do salonu, gdzie rozległy się w tej chwili dźwięki kontredansa. Spostrzegła nas.

– A, państwo byli tutaj! – rzekła rumieniąc się.

Przyjrząwszy się nam pytająco, pobiegła do swego tancerza z kipiącą beztroską młodości.

– Co to ma znaczyć? – spytała moja młoda towarzyszka. – Czy to jej mąż? Mam uczucie, że śnię. Gdzie ja jestem?

– Pani – odparłem. – Ty, tak egzaltowana, która rozumiejąc tak dobrze niedostrzegalne drgnienia wzruszeń, umiesz hodować w sercu mężczyzny najdelikatniejsze uczucia nie kalając ich, nie łamiąc ich od pierwszej chwili; pani, która masz litość dla cierpień miłosnych i która z dowcipem paryżanki łączysz namiętą duszę godną Włoch lub Hiszpanii...

Zrozumiała, że słowa moje nabrzmiały są gorzką ironią, za czym, niby to nie słuchając, przerwała mi:

– Och! Pan mnie dociąga do swego gustu. Szczególna tyrania! Chce pan, abym nie była sobą.

– Och, ja nic nie chcę! – wykrzyknąłem przerażony jej groźną postawą. – Czy przynajmniej prawdą jest, że pani lubi słuchać opowieści o silnych namiętnościach, zrodzonych w sercach naszych przez owe czarodziejki Południa?

– Owszem. A więc?

– A więc przyjdę jutro wieczór około dziewiątej do pani i zdradzę pani tę tajemnicę.

– Nie – odparła z dąsem – chcę natychmiast.

– Nie dała mi pani jeszcze prawa usłuchania jej, kiedy pani mówi „Ja chcę”.

– W tej chwili – rzekła z rozpaczliwą kokieterią – mam najgorętszą ochotę poznania tej tajemnicy. Jutro może nie będę pana słuchała...

Uśmiechnęła się i rozstaliśmy się: ona wciąż równie wyniosła, równie szorstka, ja wciąż równie śmieszny w tej chwili jak zawsze. Miała ten tupet, że puściła się w wir walca z młodym adiutantem, a ja zostałem w miejscu, kolejno zagniewany, nadąsany, oczarowany, zakochany, zazdrosny.

– Do jutra – rzekła opuszczając bal. – Do jutra około drugiej.

„Nie pójdę – pomyślałem – i rzucam cię. Jesteś kapryśna, niesforna, tysiąc razy może bardziej niż... moja wyobraźnia”.

Nazajutrz siedzieliśmy przy dobrym ogniu, w wytwornym saloniku, ona na kozetce, ja na poduszkach prawie u jej nóg, z oczyma w jej oczach. Ulica była cicha. Lampa rzuciła łagodne blaski. Był to jeden z owych rozkosznych wieczorów, jedna z owych chwil, których nie zapomina się nigdy, godzin spędzonych w ciszy i pragnieniu, których urok jest później wciąż przedmiotem żalu, nawet kiedy jesteśmy bardziej szczęśliwi. Kto zdoła zatrzeć żywy obraz pierwszych zabiegów miłości?

– No – rzekła – słucham.

– Ale bo – rzekłem – ja nie śmiem zacząć. Historia mieści ustępy nieco drażliwe dla opowiadającego. Jeśli się zapalę zbyt, zamknie mi pani usta.

– Niech pan mówi.

– Jestem posłuszny.

– Ernest Jan Sarrasine był jedynym synem prokuratora we Franche-Comte – podjąłem po pauzie. – Ojciec jego zarobił dość uczciwie sześć do ośmiu tysięcy franków renty, majątek, który niegdyś na

provincji uchodził w jego zawodzie za olbrzymi. Stary Sarrasine, mając tylko jedno dziecko, nie zaniedbał niczego dla jego wychowania; myślał zrobić zeń sędziego i żył dosyć długo, aby ujrzeć na stare lata, jak wnuk Mateusza Sarrasine, rolnika z Saint-Dié, zasiada na fotelu z liliami i drzemie na rozprawach ku chwale Trybunału. Ale niebo nie użyczyło prokuratorowi tego szczęścia. Młody Sarrasine, powierzony zawczasu jezuitom, okazał się naturą niezwykle burzliwą. Dzieckiem zdradzał temperament artysty. Uczył się tylko wtedy, kiedy miał ochotę, buntował się często i trwał niekiedy godziny całe zatopiony w mglistych dumaniach, zajęty to patrzeniem na zabawy kolegów, to uzmysławianiem sobie bohaterów Homera. Kiedy jemu samemu przyszła chętka do zabawy, rzucał się w nią bez opamiętania. W razie bójk między nim a jakim kolegą rzadko kończyło się bez rozlewu krwi. Jeżeli był słabszy, gryzł. Na przemian apatyczny i żywy, tępy lub nadmiernie inteligentny; dziwny jego charakter budził lęk zarówno wśród nauczycieli, jak wśród kolegów. Zamiast uczyć się gramatyki greckiej, rysował wielebnego ojca, który objaśniał ustęp z Tucydidesa; szkicował nauczyciela matematyki, prefekta, służących, korektora i zasmarowywał ściany swymi bazgrotami. Zamiast śpiewać na chwałę Pana w kościele, bawił się w czasie mszy rzeźbieniem ławki; to znów, skoro gdzie skradł kawałek drzewa, rzeźbił figurę jakiejś świętej. Jeśli mu brakło drzewa, kamienia lub ołówka, ucieleśniał swoje myśli za pomocą miękiszu chleba. Czy to kopiował figury z obrazów, które stroiły chór, czy improwizował je, zostawiał zawsze, na każdym miejscu zabawne szkice, których wyuzdanie przywodziło do rozpacz młodych ojców; złośliwi zaś twierdzili, że starzy jezuita uśmiechali się. W końcu, jeżeli mamy wierzyć kronice szkolnej, wypędzono go za to, iż czekając swojej kolei przy konfesjonale w Wielki Piątek, wyrzeźbił wielkie polano w kształt Chrystusa.

Bezbożność tego posążka była zbyt wyraźna, aby mogła nie ściągnąć kary na artystę. I miał to zuchwalstwo, iż umieścił tę dość cyniczną postać na tabernakulum.

Sarrasine schronił się do Paryża przed groźbą ojcowskiego przekleństwa.

Obdarzony silną wolą, która nie zna przeszkód, poszedł za nakazem swego talentu i wstąpił do pracowni Bouchardona. Pracował cały dzień, wieczorem zaś zebrał na życie. Bouchardon, zachwycony

postępami i inteligencją młodego artysty, odgadł rychło nędzę, w jakiej znajdował się jego uczeń; wspomógł go, przywiązał się doń, traktował go jak swoje dziecko. Następnie, skoro geniusz Sarrasine'a objawił się jednym z owych dzieł, w których przyszły talent zмага się z nazbyt jawną młodością, szlachetny Bouchardon próbował wrócić chłopcu łaski starego prokuratora. Wobec powagi sławnego artysty gniew ojcowski ostygł. Całe Besancon było dumne, iż wydało przyszłą wielkość. W pierwszym upojeniu, w jakim pograżyła go pogłaskana próżność, skąpy kauzyperda dostarczył synowi środków na to, aby się mógł pokazać w świecie. Mozolne studia, jakich wymaga rzeźba, poskromiły na długo porywczy charakter i dziką naturę Sarrasine'a. Bouchardon, przewidując siłę, z jaką namiętność buchnie w tej młodej duszy, z równie może tęgiego kruszcu jak dusza Michała Anioła, dławił jej energię ustawiczną pracą. Zdołał utrzymać w pewnych granicach szalony temperament Sarrasine'a, zabraniając mu pracować, podsuwając mu rozrywki wówczas, gdy widział, że go ogarnia furia jakiegoś pomysłu, lub też powierzając mu doniosłe prace w chwili, gdy chłopak gotów był rzucić się w rozpustę. Ale wobec tej gorącej duszy łagodność była zawsze najpotężniejszą bronią: jeżeli mistrz zyskał wielki wpływ na swego ucznia, to jedynie tym, iż podsycił jego wdzięczność swą macierzyńską iście dobrocią. Mając dwadzieścia dwa lata, Sarrasine z konieczności wydostał się spod zbawiennego wpływu, jaki Bouchardon miał na jego obyczaje. Dźwigał mazoły swego geniuszu, zdobywając nagrodę rzeźby, ufundowaną przez margrabiego de Marigny, brata pani de Pompadour, który tyle zrobił dla sztuki. Diderot ogłosił arcydziełem posąg stworzony przez ucznia Bouchardona. Nie bez głębokiego bólu nadworny rzeźbiarz królewski pożegnał odjeżdżającego do Włoch młodzieńca, którego z zasady utrzymywał w głębokiej nieświadomości spraw życiowych. Od pół roku Sarrasine jadał u Bouchardona. Fanatyk swojej sztuki, tak jak później Canova, wstawał o świcie, szedł do pracowni, aby ją opuścić o zmierzchu; żył tylko ze swą muzą. Jeżeli szedł do Komedii Francuskiej, to tylko zaciągnięty tam przez swego mistrza. Czuł się tak zakłopotany u pani Geoffrin i w wielkim świecie, w który Bouchardon chciał go wprowadzić, że wolał żyć samotnie, odtrącając uciechy tej rozwiązłej epoki. Nie miał innej kochanki prócz rzeźby oraz Klotyldy, jednej ze sław Opery. A i ta miłość nie trwała długo.

Sarrasine był dość brzydki, zawsze lichy odziany i z natury tak nieokiełzany, tak nieobliczalny, że znamienita nimfa, lękając się jakiej katastrofy, wróciła rzeźbiarza sztuce. Inna śpiewaczka, Zofia Arnould zrobiła jakiś koncept na ten temat. Zdziwiła się (tak mówiono), że jej koleżanka mogła odnieść zwycięstwo nad posągami.

Sarrasine wyjechał do Włoch w roku 1758. W czasie podróży gorąca jego wyobraźnia rozplomieniła się jeszcze pod niebem z mosiądzu i na widok wspaniałych pomników, jakimi usiana jest ta ojczyzna Sztuki.

Podziwiał posągi, freski, obrazy i ożywiony szlachetną emulacją przybył do Rzymu, party żądzą wpisania swego nazwiska między imionami Michała Anioła i pana Bouchardon. Toteż przez pierwsze dni dzielił swój czas między pracownię a oglądanie dzieł sztuki, od których roi się w Rzymie. Już dwa tygodnie spędził w ekstazie, która ogarnia wszystkie młode wyobraźnie na widok królowej ruin, kiedy jednego dnia wszedł do teatru „Argentina”, przed którym cisnął się wielki tłum. Spytał o powód tego ścisku; odpowiedziano mu dwoma imionami: Zambinella! Jomelli!

Wchodzi i siada na parterze, wciśnięty między dwóch *abbati* pokaźnej tuszy; ale na szczęście dosyć blisko sceny. Kurtyna się podnosi. Pierwszy raz w życiu usłyszał tę muzykę, której Jan Jakub Rousseau tak wymownie słał mu rozkosze w czasie kolacji u barona d'Holbacha. Duszę młodego rzeźbiarza oczarował, rzec można, cudowny śpiew Jomellego. Zmysłowa oryginalność tych włoskich głosów misternie splecionych z sobą pogrążyła go w rozkoszonym zachwyceniu. Siedział niemy, bez ruchu, nie czując nawet, jak go gniotą dwaj księżulkowie. Dusza jego przeszła w uszy i w oczy. Miał uczucie, że słucha wszystkimi porami. Naraz oklaski, od którychomal nie zawaliła się sala, powitały zjawienie się primadonny. Wysunęła się zalotnie na przód sceny i skłoniła się publiczności z nieskończonym wdziękiem. Światła, entuzjizm tłumu, iluzja sceny, urok toalety, która w epoce owej była dość wyzywająca, spotęgowały powab tej kobiety. Sarrasine wydawał okrzyki rozkoszy. Podziwiał oto idealną piękność, której do tej chwili wciąż szukał w naturze, żądając od modelki, często plugawej, doskonałej linii nóg, od innej zarysów piersi, od innej białych ramion, biorąc wreszcie szyję jakiejś młodej dziewczyny, ręce jakiejś kobiety, gładkie kolano jakiegoś

dziecka, nie znajdując nigdy pod zimnym niebem Paryża upajających tworów starożytnej Grecji.

Zambinella ukazała mu najdelikatniejsze zespolenie owych tak gorąco upragnionych, rozkosznych proporcji niewieścich, których rzeźbiarz jest równocześnie najsurowszym i najnamiętniejszym sędzią. Wymowne usta, miłosne oczy, cera olśniewającej białości! Do tych szczegółów, które byłyby oczarowały malarza, dodajcie wszystkie cudy Wener oddane pobożnym dłutem Greków. Artysta w zapamiętaniu podziwiał niezrównany wdzięk, z jakim ramiona spływały się z szyją, cudowną krągłość szyi, harmonijne linie brwi, nosa, doskonały owal twarzy, czystość jej konturów, urok gęstych rzęs wieńczących szerokie i zmysłowe powieki.

To było więcej niż kobieta, to było arcydzieło. Była w tym nieoczekiwanym tworze miłość zdolna oczarować wszystkich mężczyzn oraz piękności godne entuzjazmu krytyka. Sarrasine pożerał oczyma posąg Pigmaliona, który dla niego zstąpił z piedestału. Kiedy Zambinella zaczęła śpiewać, to był szal. Artystę przebiegał mróz; następnie uczuł żar, który zapłonął nagle w głębiach jego najtajniejszej istoty, tego, co dla braku wyrażenia nazywamy sercem! Nie klaskał, nie rzekł nic, ale doznawał uczucia szaleństwa, istnego opętania, które zagarnia nas jedynie w owym wieku, w którym żąda ma coś straszliwego, piekielnego. Sarrasine chciał rzucić się na scenę i chwycić tę kobietę. Siła jego ustokrotniona jakąś depresją moralną niepodobną do wytłumaczenia, gdyż te objawy zachodzą w sferze niedostępnej dla ludzkiej obserwacji, gotowa była trysnąć z bolesną gwałtownością. Widząc go, powiedziałyby się, że to człowiek zimny i tępy. Sława, wiedza, przyszłość, istnienie, laury, wszystko runęło. Być kochanym przez nią albo umrzeć, oto wyrok, jaki Sarrasine wydał na samego siebie. Był tak zupełnie pijany, że nie widział sali, publiczności, aktorów, nie słyszał już muzyki. Więcej jeszcze, nie istniała już odległość między nim a Zambinellą, posiadał ją, oczy jego wlepione w śpiewaczkę piły ją. Diaboliczna niemal siła pozwalała mu czuć tchnienie tego głosu, wdychać wonny puder, którym te włosy były napojone, widzieć płaszczyzny tej twarzy, liczyć błękitne żyłki barwiące tę atlasową skórę. Wreszcie ten głos, zwinny, świeży o srebrnym brzmieniu, gibki jak nitka, którą najlżejszy powiew kształtuje, którą zwija i rozwija, pędzi i unosi, głos ten przejmował tak żywo jego duszę, że artysta raz po raz wydawał owe mimowolne

krzyki wyrwane konwulsyjną rozkoszą, zbyt rzadko daną ludzkim namiętnościami. W końcu musiał wyjść z teatru. Drżące nogi zaledwie mogły go unieść. Był złamany, słaby jak człowiek nerwowy, którego wypruł jakiś atak straszliwego gniewu. Miał tyle przyjemności lub może tyle wycierpiał, że życie jego spłynęło jak woda z naczynia, które ktoś wywrócił. Czuł w sobie pustkę, unicestwienie podobne do owej niemocy, która doprowadza do rozpaczki ludzi wychodzących z ciężkiej choroby. Ogarnięty niewy tłumaczonym smutkiem, przysiadł na schodach jakiegoś kościoła. Tam, grzbietem wsparty o kolumnę, pograżył się w zadumie mglistej niby sen. Namiętność spiorunowała go.

Wróciwszy do domu, wpadł w paroksyzm energii, która zdradza obecność nowego elementu w naszym istnieniu. Szarpany ową pierwszą gorączką miłości, która tyleż ma z rozkoszy, co z bólu, pragnął oszukać swoją niecierpliwość i swoje szaleństwo rysując Zambinellę z pamięci. Była to niejako zmaterializowana medytacja. Na jednej ćwiartce papieru widniała Zambinella zimna i spokojna na pozór, w postawie ulubionej Rafaelowi, Giorgione i wszystkim wielkim malarzom. Na drugiej obracała głowę subtelnie, kończąc tryl i zdając się słuchać samej siebie. Sarrasine naszkicował swą ukochaną we wszystkich pozach: bez zasłony, siedzącą, stojącą, leżącą, niewinną albo lubieżną, urzeczywistniając, dzięki obłędowi swego ołówka, wszystkie bezładne myśli, jakie nawiedzają naszą wyobraźnię, kiedy silnie myślimy o kochance. Ale jego oszalała myśl szła dalej niż rysunek. Widział Zambinellę, mówił do niej, błagał ją, wyżywał z nią tysiąc lat życia i szczęścia, przymierzając ją we wszystkich możliwych sytuacjach, próbując z nią niejako przyszłości.

Nazajutrz posłał lokaja, aby wynając na cały sezon łożę tuż przy scenie.

Następnie, jak wszyscy młodzi ludzie obdarzeni bujną wyobraźnią, przecenił trudność swego przedsięwzięcia i dał swej namiętności jako pierwszy pokarm szczęście podziwiania kochanki bez przeszkód. Ten złoty wiek miłości, w którym rozkoszujemy się własnym uczuciem i w którym czujemy się niemal szczęśliwi sami Przez się, niedługo miał trwać u Sarrasine'a. Jednakże wypadki zaskoczyły go w chwili, gdy był jeszcze pod urokiem tej wiośnianej halucynacji, równie naiwnej, jak rozkosznej. Przez tydzień przeżył całe życie, rano zajęty ugniataniem gliny, w której starał się

skopiować Zambinellę mimo zasłon, spódnic, sznurówek i wstążek, które mu ją przesłaniały. Wieczór, wcześniej w swej łoży, sam, leżąc na sofie, stwarzał sobie – podobny Turkowi oszołomionego przez opium – szczęście tak płodne, tak bujne, jak sam pragnął. Oswoił się stopniowo z nazbyt żywym wzruszeniem, o jakie go przyprawiał śpiew ukochanej; następnie oswoił swoje oczy z jej widokiem; w końcu mógł patrzeć na nią bez obawy głuchej wściekłości, jaka nim wstrząsała pierwszego dnia. Namietność jego, uspokajając się, stała się głębsza. Poza tym dziki rzeźbiarz odludek nie znosił, aby koledzy mącili jego samotność, zaludnioną obrazami, strojną rojeniem nadziei i szczęścia. Kochał z całą siłą i tak naiwnie, że stał się pastwą wszystkich niewinnych skrupułów, jakie nas oblegają, kiedy kochamy po raz pierwszy. Kiedy sobie uświadamiał, że niebawem trzeba będzie działać, krzątać się, dowiadywać, gdzie mieszka Zambinella, czy ma matkę, wuja, opiekuna, rodzinę, kiedy myślał wreszcie o sposobach zobaczenia jej, mówienia z nią, czuł, że serce wzdyka mu się tak silnie od tak śmiałych myśli, że odkładał te zabiegi na jutro, szczęśliwy tyleż przez swe cierpienia fizyczne, co przez swoje rozkosze duchowe.

– Ależ – przerwała mi pani de Rochefide – nie widzę jeszcze ani Marianiny, ani jej staruszka.

– Widzi go pani ciągle! – wykrzyknąłem zniecierpliwiony jak autor, któremu zepsują efekt. – Od kilku dni – podjąłem po pauzie – Sarrasine tak pilnie wysiadywał w swojej łoży, a oczy jego wyrażały tyle miłości, że jego szął dla śpiewu Zambinelli byłby plotką dla całego Paryża, gdyby rzeczy się działy w tym mieście; ale we Włoszech, proszę pani, w teatrze każdy przeżywa własne wrażenia, własne namietności z pasją, która wyklucza szpiegostwo lornetek.

Bądź co bądź zaciętrzewienie rzeźbiarza nie mogło długo ujść oczu śpiewaków i śpiewaczek. Pewnego wieczora Francuz spostrzegł, że się z niego śmiano w kulisach. Trudno zgadnąć, do jakiej by się posunął ostateczności, gdyby Zambinella nie weszła w tej chwili na scenę. Rzuciła na Sarranea owo wymowne spojrzenie, które często mówi więcej, niżby kobieta chciała. To spojrzenie było całym objawieniem. Kocha go!

„Jeżeli to jest tylko kaprys – myślał, już oskarżając swą kochankę o zbyt gorące serce – jeszcze ona nie wie, pod jaką moc popadnie. Jej kaprys będzie trwał, mam nadzieję, tyle co moje życie”.

W tej chwili trzy lekkie pukania do łoży obudziły uwagę artysty. Otworzył. Stara kobieta weszła tajemniczo.

– Młodzieńcze – rzekła – jeżeli chcesz być szczęśliwy, bądź roztropny, zawiń się w płaszcz, spuść na oczy wielki kapelusz, następnie około dziesiątej wieczór bądź na ulicy Corso przed pałacem Hiszpańskim.

– Będę – rzekł wkładając dwa ludwiki w pomarszczoną dłoń starej.

Wymknął się z łoży, dawszy porozumiewawczy znak Zambinelli, która spuściła trwożliwie rozkoszne powieki, jak kobieta szczęśliwa, że ją nareszcie zrozumiano. Następnie pobiegł do domu, aby wyszukaną toaletą podnieść swe szansę. Kiedy wychodził z teatru, nieznajomy jakiś zatrzymał go.

– Uważaj, panie Francuzie – szepnął. – To gra o życie. Kardynał Cicognara jest jej protektorem, a on nie zna żartów.

Gdyby czart pomieścił między Sarrasineem a Zambinellą otchłań piekła, w tej chwili rzeźbiarz byłby ją przebył jednym susem. Podobna rumakom bogów w eposie Homera, miłość jego przebyła w mgnieniu oka olbrzymie przestrzenie.

– Gdyby śmierć miała mnie czekać na progu, szedłbym jeszcze prędzej – odparł.

– *Poverino!* – wykrzyknął nieznajomy znikając.

Mówiąc o niebezpieczeństwie zakochanemu – czyż to nie znaczy sprzedawać mu rozkosz? Nigdy lokaj Sarrasine'a nie widział, aby pan jego tak się stroił. Najpiękniejszą szpadę, dar Bouchardona, szarfę, którą mu dała Klotylda, surdut naszywany w blaszki, kamizelkę ze srebrnej lamy, złotą tabakierkę, kosztowne zegarki, Wszystko wy dobył z kufrów; wystroił się jak młoda dziewczyna, która spodziewa się spotkać na przechadzce swego pierwszego zalotnika. O oznaczonej godzinie pijany miłością, kipiący nadzieją, Sarrasine z twarzą zakrytą płaszczem pobiegł na miejsce wyznaczone przez starą. Duenna czekała.

– Spóźnił się pan – rzekła. – Pójdź.

Poprowadziła Francuza małymi uliczkami i zatrzymała się przed dość okazałym pałacykiem. Zapukała. Brama otwarła się. Powiodła Sarrasine'a przez labirynt schodów, korytarzy i pokoi oświetlonych jedynie mdłym blaskiem księżyca; niebawem przybyli do drzwi, z których przez szpary przenikało żywe światło i skąd dochodziły

radosne śmiechy i głosy. Naraz Sarrasine stanął olśniony – na jedno słowo starej wpuszczono go do tego tajemniczego mieszkania. Ujrzał się w salonie wspaniale oświetlonym, bogato umeblowanym; na środku znajdował się stół zastawiony obficie, dźwigający czcigodne butelki, apetyczne flakony, migocące na kształt rubinów i diamentów. Poznał śpiewaków i śpiewaczki z teatru w towarzystwie uroczych kobiet, widocznie gotowych rozpocząć ucztę, z którą czekano tylko na niego. Sarrasine powściągnął uczucie zawodu, nadrabiając miną. Spodziewał się słabo oświetconego pokoju kochanki; ona sama koło kominka, zazdrośnik o dwa kroki, śmierć i miłość, zwierzenia wymieniane szeptem, z serca do serca, pocałunki igrające z niebezpieczeństwem, twarze tak bliskie, że włosy Zambinelli pieściłyby czoło jego brzemienne pragnieniem, płonące szczęściem.

– Niech żyje szaleństwo! – krzyknął. – *Signori e belle donne*, pozwolicie mi później wziąć rewanż i okazać moją wdzięczność za sposób, w jaki przyjmujecie biednego rzeźbiarza.

Przyjąwszy dość serdeczne słowa powitania od większości obecnych osób, które znał z widzenia, starał się zbliżyć do berzerki, na której spoczywała Zambinella, niedbale wyciągnięta. Och, jakże mu biło serce, kiedy spostrzegł maleńką nóżkę, obutą w owe pantofelki, które, niech mi to pani pozwoli powiedzieć, dawały niegdyś nóżce kobiecej wyraz tak zalotny, tak rozkoszny, że nie wiem, jak mężczyźni mogli mu się oprzeć. Białe pończochy doskonale obcisłe, z zielonymi strzałkami, krótkie spódniczki, szpiczaste pantofelki na wysokich obcasach z czasu Ludwika XV przyczyniły się może trochę do zepsucia Europy i kleru.

– Trochę! – rzekła margrabina. – Więc pan nic nie czytał?

– Zambinella – odparłem z uśmiechem – bezwstydnie założyła nogę na nogę i kołysała dla zabawy tą, która była na wierzchu. Ta poza księżniczki doskonale godziła się z jej urodą kapryśną i, można rzec, obiecująco miękką.

Przebrała się po teatrze; staniczek dobrze rysował jej smukłą kibić, którą uwydatniały jeszcze robrony i atlasowa suknia haftowana w błękitne kwiaty.

Pierś, której skarby kryła przez zbytek kokieterii koronka, lśniła białością.

Uczesana była mniej więcej tak, jak się czesała pani du Barry; twarz jej w obszernym czepeczku zdawała się jeszcze drobniejsza, a puder podnosił jej cerę.

Widzieć ją tak, znaczyło ją ubóstwiać. Uśmiechnęła się wdzięcznie do rzeźbiarza. Sarrasine, jakkolwiek nierad, że nie może z nią mówić bez świadków, usiadł grzecznie i zaczął rozmowę o muzyce chwając jej wspaniały talent; ale głos jego drżał miłością, obawą i nadzieją.

– Czego się pan obawia? – rzekł Vitagliani, naj słynniejszy śpiewak z trupy. – Wierzaj, nie potrzebujesz się tu lękać żadnego rywala.

Tenor uśmiechnął się milcząco.

Uśmiech ten powtórzył się na wargach wszystkich gości, na których twarzach odbijała się jakaś ukryta złośliwość, niedostrzegalna dla zakochanego.

Niedyskrecja ta była dla Sarrasinea niby cios sztyletu w piersi. Mimo że obdarzony siłą charakteru, tak iż nic w świecie nie mogło wpłynąć na jego miłość, nie pomyślał może jeszcze, że Zambinella jest niemal kurtyzana i że nie może zaznać równocześnie czystych rozkoszy, które czynią miłość młodej dziewczyny czymś tak słodkim, i płomiennych uniesień, którymi aktorka każe kupować skarby swojej namiętności. Zrozumiał to i pogodził się z losem.

Podano wieczerzę. Sarrasine i Zambinella siedli bez ceremonii przy stole. Do połowy kolacji artyści zachowali pewną miarę i rzeźbiarz mógł rozmawiać ze śpiewaczką. Wydała mu się dowcipna, subtelna, ale była bezgranicznie ciemna; zdała mu się też słaba i zabobonna. Delikatność jej organów przebijała w jej umysłowości. Kiedy Vitagliani otworzył pierwszą butelkę szampana, Sarrasine wyczytał w oczach sąsiadki dość żywy lęk na słaby wystrzał korka. Mimowolne drżenie kobiecych nerwów wziął zakochany za oznakę nadzwyczajnej wrażliwości. Słabość ta oczarowała Francuza. Miłość mężczyzny kryje tyle opiekuńczości. „Moja siła będzie dla ciebie tarczą”! Czyż to zdanie nie jest treścią wszystkich oświadczeń miłosnych?

Sarrasine, zbyt namiętny, aby prawić komplementy pięknej Włoszce, był jak wszyscy kochankowie na przemian poważny, roześmiany albo skupiony.

Mimo iż zdawał się słuchać obecnych, nie słyszał ani słowa; cały oddawał się rozkoszy jej bliskości, dotknięcia jej ręki, obsługiwania jej. Pławił się w tajemnej rozkoszy. Mimo wymowy paru spojrzeń, zdziwiony był wstrzemięźliwością Zambinelli. Prawda, że pierwsza przycisnęła jego nogę i drażniła go z filuternością kobiety wolnej i zakochanej, ale naraz, słysząc, jak Sarrasine opowiada jakiś fakt świadczący o gwałtowności jego charakteru, przeobraziła się w skromną dziewczeczkę. Kiedy kolacja zmieniała się w orgię, goście natchnieni winem zaczęli śpiewać. Następowaly po sobie cudowne duety, kalabryjskie piosenki, hiszpańskie seguidille, neapolitańskie kanconety. Pijaństwo było we wszystkich oczach, w muzyce, w sercach i głosach. Buchnęła nagle upajająca żywość, serdeczne wylanie, włoska dobroduszość, zupełnie niezrozumiała tym, którzy znają jedynie przyjęcia paryskie, rauty londyńskie i wiedeńskie wieczorynki. Żarty i czułe słówka krzyżowały się niby kule w bitwie, poprzez śmiechy, klątwy, bluźnierstwa, wezwania Najświętszej Panny lub Dzieciątka. Ktoś położył się na sofie i zasnął. Młoda dziewczyna słuchała oświadczeń nie widząc, że leje wino na obrus. Pośród tego zamętu Zambinella, jak gdyby zdjęta grozą, milczała zamyślona. Nie chciała pić, jadła może nieco za wiele; ale łakomstwo jest, powiadają, wdziękiem kobiety.

Podziwiając wstydlivość kochanki, Sarrasine zastanawiał się poważnie nad przyszłością.

„Chce z pewnością, aby się z nią ożenić” – rzekł sobie w duchu.

Po czym oddał się rozkoszom tego związku. Całe życie nie wydawało mu się dość długie, aby wyczerpać źródło szczęścia, jakie znajdował w duszy.

Vitagliani, jego sąsiad, dolewał mu gęsto, tak że koło trzeciej z rana, nie będąc zupełnie pijany, Sarrasine uczuł się bezbronny wobec swego szafu. W chwili uniesienia porwał tę kobietę i uniósł ją do buduaru, ku którego drzwiom niejedyn raz obrócił już oczy. Włoszka była zbrojna w sztylet.

– Jeżeli się zbliżysz – rzekła – będę musiała utopić ci tę broń w sercu.

Pogardzałbyś mną. Zbyt wiele powzięłam szacunku dla ciebie, aby się oddać w ten sposób. Nie chcę stać się niegodna uczucia, jakim mnie darzysz.

– A! A! – rzekł Sarrasine – zły to sposób gaszenia miłości tym, że się ją podnieca. Czy jesteś już tak zepsuta, stara sercem, że postępujesz jak młoda kurtyzana, zaostrzająca wzruszenia, którymi handluje?

– Ależ dziś piątek – odparła przerażona gwałtownością Francuza.

Sarrasine, który nie był dewotem, zaczął się śmiać. Zambinella skoczyła jak młoda kózka i rzuciła się do jadalni. Kiedy Sarrasine pojawił się, goniąc za nią, przywitał go piekielny śmiech. Ujrzał Zambinellę zemdloną na sofie. Była blada i jak by wyczerpana wysiłkiem, który uczyniła. Mimo że Sarrasine niewiele umiał po włosku, zrozumiał, jak mówiła po cichu do Vitaglianiego:

– Ależ on mnie zabije!

Dziwna ta scena zmieszała rzeźbiarza. Ochłonął. Stał zrazu nieruchomy, następnie odzyskał mowę, siadł koło ukochanej i zapewnił ją o swym szacunku.

Znalazł siłę, aby pchnąć swą namiętność na inne tory, oświadczając się tej kobiecie w sposób najbardziej egzaltowany. Dla odmalowania swej miłości rozwinął skarby owej czarodziejskiej wymowy, której kobiety rzadko odmawiają wiary. W chwili gdy pierwszy brzask zaskoczył biesiadników, któraś z kobiet poddała, aby pojechać do Frascati. Wszyscy przyjęli żywym oklaskiem myśl, aby spędzić dzień w Villa Ludovisi. Vitagliani poszedł wynająć powozy. Sarrasine miał to szczęście, że jechał z Zambinellą w faetonie. Skoro raz wydostali się z Rzymu, wesołość, zdławiona na chwilę walką, jaką każdy toczył ze snem, obudziła się nagle. Mężczyźni, kobiety, wszyscy byli zwyczajni owego szalonego życia, owych nie kończących się uciech, owej bujności artystów czyniących z życia ustawne święto, wybuch śmiechu bez myśli o jutrze. Jedyne towarzysza rzeźbiarza wydawała się przygnębiona.

– Czy chora jesteś? – spytał Sarrasine. – Czy wolałabyś wrócić do domu?

– Nie jestem dość silna, aby znosić te wybryki – odparła. – Potrzebuję się bardzo oszczędzać, ale przy panu czuję się tak dobrze! Bez pana nie byłabym została na tej wieczerzy; po nieprzespanej nocy tracę całą świeżość.

– Jesteś taka delikatna – odparł Sarrasine patrząc na drobne rysy uroczej istoty.

– Hulanki niszczą mi głos.

– Teraz, kiedy jesteśmy sami – wykrzyknął artysta – i kiedy nie potrzebujesz się lękać wybuchów mojej namiętności, powiedz mi, że mnie kochasz.

– Czemu – rzekła – na co?

Podobałam się panu.

Ale pan jest Francuz i to uczucie przejdzie panu.

Och, pan by mnie nie kochał tak, jak ja bym chciała być kochaną.

– Jak?

– Bez tego, do czego zmierza pospolita miłość, niewinnie.

Brzydę się mężczyznami bardziej jeszcze, niż nienawidzę kobiet. Potrzeba mi przyjaźni, w której czułabym się bezpieczna. Świat jest dla mnie pustynią. Jestem przeklęta istota, skazana na to, aby rozumieć szczęście, aby je czuć, aby go pragnąć i, jak tyle innych, zmuszona patrzeć, jak ono wciąż ucieka ode mnie. Niech pan pamięta, że ja pana nie oszukałam. Zabraniam ci kochać mnie. Mogę być dla ciebie oddanym przyjacielem, bo podziwiam twoją siłę i twój charakter. Potrzebuję brata, opiekuna. Bądź tym wszystkim dla mnie, ale niczym więcej.

– Nie kochać cię! – wykrzyknął Sarrasine. – Ależ, drogi aniele, jesteś moim życiem, moim szczęściem!

– Gdybym powiedziała jedno słowo, odepchnąłbyś mnie ze wstrętem.

– Kokietko, nic mnie nie zdoła przerazić! Powiedz mi, że dla ciebie zgubię mą przyszłość, że za dwa miesiące umrę, że pójdę do piekła za to, że cię raz pocałowałam!

Uściskał ją mimo wysiłków, jakie czyniła Zambinella, aby uniknąć tego namiętnego pocałunku.

– Powiedz mi, że jesteś czartem, że chcesz mego majątku, mego nazwiska, całej mojej sławy! Czy chcesz, abym przestał być rzeźbiarzem? Mów.

– A gdybym ja nie była kobietą? – spytała nieśmiało Zambinella srebrnym i słodkim głosem.

– Dobry żart! – wykrzyknął Sarrasine. – Myślisz, że można oszukać oko artysty? Czyż od dziesięciu dni nie pozeram, nie zgłębiam, nie podziwiam twoich uroków? Tylko kobieta może mieć to krągłe i miękkie ramię, te delikatne linie. Och, ty chcesz pochlebstw!

Uśmiechnęła się smutno i szepnęła:

– Nieszczęsna piękność!

Podniosła oczy do nieba. W tej chwili w spojrzeniu jej odbijał się wstręt tak silny, tak żywy, że Sarrasine zadrżał.

– Panie Francuzie – dodała – niech pan zapomni na zawsze tę chwilę szaleństwa. Szanuję pana, ale co się tyczy miłości, nie żądam jej ode mnie; to uczucie nie istnieje w moim sercu. Ja nie mam serca! – wykrzyknęła płacząc. – Teatr, w którym mnie pan widział, te oklaski, ta muzyka, ta sława, na jaką mnie skazano, to moje życie: nie mam innego. Za kilka godzin będzie pan na mnie patrzył innymi oczami, kobieta, którą kochasz, umrze.

Rzeźbiarz nie odpowiedział. Głucha wściekłość orała mu serce. Potrafił tylko patrzeć na tę niezwykłą kobietę oczyma, które paliły płomieniem. Ten wąty głos, ta poza, wzięcie, gesty Zambinelli, nacechowane smutkiem, melancholią i zniechęceniem, wydobywały z jego duszy wszystkie skarby miłości. Każde słowo było ostrogą, w tej chwili przybyli do Frascati. Kiedy artysta podał rękę swej pani, aby jej pomóc wsiąść, uczył, że cała drży.

– Co tobie? Zabiłabyś mnie – wykrzyknął, widząc, że blednie – gdybyś czuła najłżejszy ból, którego ja byłbym nawet niewinną przyczyną.

– Wąż! – rzekła pokazując małego wężyka, który pomykał wzdłuż rowu. – Boję się tych wstrętnych stworzeń.

Sarrasine zgniótł nogą głowę węża.

– Jaki pan odważny! – rzekła Zambinella patrząc z widocznym przerażeniem na martwego płaza.

– No i co – rzekł artysta z uśmiechem – czy ośmielisz się twierdzić, że nie jesteś kobietą?

Połączyli się z towarzystwem i przechadzali się po lasach willi Ludovisi, należącej wówczas do kardynała Cicognara. Ranek ten upłynął zbyt szybko dla zakochanego rzeźbiarza, ale wypełniło go mnóstwo wydarzeń, które mu odsłoniły kokieterię, słabość, czułościowość tej miękkiej i wątlej duszy. Była to kobieta z nagłymi napadami lęku, nieumotywowanymi kapryсами, wybuchami przestraszenia i odwagi, z kobiecą brawurą i uroczą delikatnością uczuć. W pewnej chwili, zapuszczając się w pole, gromadka wesołych śpiewaków ujrzała z daleka paru ludzi uzbrojonych od stóp do głów i bynajmniej nie budzących zaufania. Na słowa: „To zbójcy” każdy przyspieszył kroku, aby się schronić w willi kardynała. W tym

krytycznym momencie Sarrasine spostrzegł po bladości Zambinelli, że nie ma siły iść; wziął ją w ramiona i niósł jakiś czas biegnąc. Kiedy się znalazł w pobliskiej winnicy, postawił swoją panią na ziemi.

– Wytlumacz mi – rzekł – w jaki sposób ta bezmierna słabość, która u każdej innej kobiety byłaby wstrętą, raziłaby mnie i której najmniejszy objaw wystarczyłby niemal, aby zgasić moją miłość, w tobie podoba mi się, czaruje mnie? Och, jak ja cię kocham – dodał. – Wszystkie twoje wady, twoje lęki, twoje małości dodają ci jeszcze wdzięku. Czuję, że nienawidziłbym kobiety silnej, jakiejś Safony, odważnej, pełnej energii, namiętności. O słodka i wątła istoto, jak mogłabyś być inna? Ten głos anioła, ten głos tak delikatny, byłby nonsensem, gdyby wychodził z innego ciała niż twoje.

– Nie mogę – rzekła – dać panu żadnej nadziei. Niech pan nie mówi do mnie w ten sposób, żartowano by z pana. Niepodobna mi zabronić panu wstępu do teatru, ale jeśli mnie kochasz lub jeśli jesteś rozsądny, nie przyjdiesz więcej.

Niech pan mnie posłucha – rzekła poważnym głosem.

– Och, milcz – rzekł artysta upojony.

– Przeszkody podsycają miłość w moim sercu.

Zambinella stała bez ruchu, skromna i pełna wdzięku, ale zamilkła, jak gdyby rażona jakąś złowróżbną myślą. Kiedy trzeba było wracać do Rzymu, wsiadła do czteroosobowej berlinki, rozkazując z nieubłaganą minką rzeźbiarzowi, aby sam wrócił faetonem. Przez drogę Sarrasine postanowił wykraść Zambinellę. Cały dzień spędził na snuciu planów; jeden był bardziej szalony niż drugi. O zmierzchu, w chwili gdy wychodził, aby spytać kogo, gdzie się znajduje willa jego ukochanej, spotkał w progu jednego z kolegów.

– Mój drogi – rzekł mu ów – nasz ambasador prosi cię do siebie na dziś wieczór. Daje wspaniały koncert: kiedy usłyszysz, że będzie Zambinella...

– Zambinella – wykrzyknął Sarrasine, nieprzytomny na dźwięk tego imienia. – Ależ ja szaleję za nią!

– Jak wszyscy – odparł kolega.

– Słuchaj, jeżeli jesteście moimi przyjaciółmi, ty, Vien, Lauterburg i Allegrain, użyćcie mi pomocy w zamachu, jaki chcę uczynić po zabawie.

– Nie chodzi o zabicie jakiego kardynała ani o...

– Nie, nie – rzekł Sarrasine. – Nie żądam od was nic, czego uczciwi ludzie nie mogliby zrobić.

W parę sekund rzeźbiarz przygotował wszystko, aby zapewnić sukces swemu przedsięwzięciu. Przybył jeden z ostatnich do ambasadora, ale przybył w podróżnej karecie zaprzężonej w tęgie konie, a powożonej przez jednego z najśmielszych *vetturinów* w Rzymie. Pałac ambasadora pełen był ludzi; nie bez trudu rzeźbiarz, nie znany nikomu z obecnych, zdołał dotrzeć do salonu w chwili, gdy Zambinella śpiewała.

– To z pewnością przez wzgląd na kardynałów, biskupów i opatów, którzy są tutaj – spytał Sarrasine – ona przebrana jest za mężczyznę, ma siatkę na głowie, włosy w puklach i szpadę przy boku?

– Ona? Jaka ona? – odparł stary pan, do którego zwrócił się Sarrasine.

– Zambinella.

– Jaka Zambinella? – odparł rzymski książę. – Czy pan żartuje? Skąd pan przybywasz? Czy kiedy występowała kobieta w teatrze w Rzymie? I czy pan nie wie, jakiego rodzaju istoty grają role kobiece w państwie papieskim? To ja, drogi panie, dałem Zambinelli jego głos. Zapłaciłem wszystko temu ladaco, nawet nauczyciela śpiewu. I wiesz pan, tak mało się poczuwa do wdzięczności za usługę, jaką mu oddałem, że nie chce przestąpić mego progu. A przecież jeżeli zrobi majątek, mnie będzie go zawdzięczał.

Książę Chigi mógł mówić długo. Sarrasine nie słuchał go. Okropna prawda wdarła się w jego duszę. Był jak gdyby rażony gromem. Stał nieruchomo, z oczyma wlepionymi w rzekomego śpiewaka. Jego płomiennie spojrzenie musiało magnetycznie podziałać na Zambinellę, bo *musicco* obrócił nagle oczy na Sarrasinea: w tejże chwili jego niebiański głos zmaćił się. Zadrżał. Mimowolny szmer wyrwał się zebraniu, które całe wisało u jego warg.

To go zmieszało do reszty; usiadł i przerwał arię. Kardynał Cicognara, który śledził spod oka kierunek, w jakim pobiegło spojrzenie jego protegowanego, spostrzegł wówczas Francuza, pochylił się do jednego ze swych duchownych adiutantów i widocznie spytał o nazwisko rzeźbiarza. Uzyskawszy odpowiedź, przyjrzał się bardzo uważnie artyście i dał rozkazy księdzu, który znikł szybko.

Tymczasem Zambinella, przyszedłszy do siebie, zaczął na nowo arię, którą przerwał tak nagle, ale wykonał ją lichy i, mimo nalegań, wzbraniał się zaśpiewać cokolwiek innego. Pierwszy to raz objawił ową kapryśną tyranie, która później uczyniła go nie mniej sławnym niż talent i olbrzymi majątek, owoc – jak powiadano – zarówno jego głosu, jak urody.

– To kobieta – rzekł głośno Sarrasine, jak gdyby był sam. – Musi się za tym kryć jakaś piekielna tajemnica. Kardynał Cicognara oszukuje papieża i cały Rzym!

Natychmiast rzeźbiarz wyszedł z salonu, zebrał przyjaciół i posadził ich na czatach w dziedzińcu pałacowym. Kiedy Zambinella zyskał pewność, że Sarrasine odszedł, zdawało się, że odzyskał nieco spokoju. Około północy, obszedłszy salony jak człowiek, który szuka wroga, *musico* opuścił zebranie.

W chwili gdy przekraczał próg pałacu, pochwycili go zręcznie jacyś ludzie, którzy mu zakneblowali usta chustką i przenieśli go do powozu wynajętego przez Sarrasine'a. Zdrętwiały ze strachu Zambinella wtulił się w kąt, nie śmiejąc się poruszyć. Widział przed sobą straszliwą twarz artysty, który zachowywał śmiertelne milczenie. Droga była krótka. Zambinella, wyniesiony przez Sarrasine'a, znalazł się niebawem w ponurej i nagiej pracowni. Śpiewak, na wpół martwy, siedział na krześle, nie śmiejąc spojrzeć na posąg kobiety, w którym poznał swoje rysy. Nie wyrzekł słowa, ale zęby jego szczękały. Sarrasine przechadzał się wielkimi krokami. Naraz zatrzymał się przed Zambinellą.

– Powiedz mi prawdę – rzekł głuchym i zmienionym głosem. – Jesteś kobietą? Kardynał Cicognara...

Zambinella padł na kolana i odpowiedział jedynie spuszczeniem głowy.

– Ha! Jesteś kobietą – wykrzyknął artysta w szale – bo nawet... Nie dokończył.

– Nie – podjął – nie byłby na tyle nikczemny...

– Och, nie zabijaj mnie – wykrzyknął Zambinella zalewając się łzami. – Zgodziłem się zwodzić pana jedynie na prośby moich kolegów, którzy chcieli się pośmiać.

– Pośmiać! – odparł rzeźbiarz głosem, który miał coś piekielnego. – Pośmiać, pośmiać! Tyś się ważył igrać z uczuciem mężczyzny, ty?

– Och! Łaski! – odparł Zambinella.

– Powinien bym cię zgładzić – wykrzyknął Sarrasine, dobywając szpady gwałtownym ruchem. – Ale – podjął z zimną wzgardą – drażąc twe wnętrzności sztyletem, czy znalazłbym tam uczucie, które bym mógł ugasić, zemstę, którą bym mógł nasycić? Jesteś niczym. Gdybyś był mężczyzną czy kobietą, zabiłbym cię. Ale...

Sarrasine uczynił gest wzgardy; odwracając głowę, musiał spojrzeć na posąg.

– I to jest złudzenie! – wykrzyknął, po czym odwrócił się ku Zambinelli. – Serce kobiety było dla mnie schronieniem, ojczyzną. Czy masz siostry, które byłyby do ciebie podobne? Nie. Więc umieraj! – zawołał. – Ale nie, będziesz żył. Zostawić ci życie, czyż to nie znaczy skazać cię na coś gorszego niż śmierć? Nie mojej krwi ani mego istnienia żałuję, ale przyszłości i szczęścia i mego serca. Twoja wątła ręka zwała moje szczęście. Jaką nadzieję mogę ci wydrzeć za wszystkie nadzieje, któreś ty pokalał? Ściągnąłeś mnie aż do siebie. Kochać, być kochanym! To są odtąd słowa pozbawione sensu dla mnie, tak jak dla ciebie. Bez ustanku będę myślał o tej kobiecie urojonej, widząc kobietę rzeczywistą. – Wskazał posąg gestem rozpaczony. – Zawsze będę miał w pamięci niebiańską harpię, która będzie zatapiać szpony we wszystkie moje męskie uczucia i która naznaczy wszystkie inne kobiety piętnem niedoskonałości. Potworze, ty, który nie możesz dać życia niczemu, ogołociłeś mi ziemię ze wszystkich kobiet!

Sarrasine usiadł naprzeciw przerażonego śpiewaka.

Dwie wielkie łzy wyszły z jego suchych oczu, potoczyły się po jego męskich policzkach i spadły na ziemię.

Dwie łzy wściekłości, dwie łzy gorzkie i palące.

– Nie ma już miłości! Umarłem dla wszelkiej rozkoszy, dla wszystkich ludzkich wzruszeń.

Przy tych słowach chwycił młot i cisnął nim w posąg z tak wściekłą siłą, że chybił. Sądził, iż zniszczył ten pomnik swego szaleństwa; wówczas chwycił szpadę i błysnął nią, aby zabić śpiewaka. Zambinella wydawał rozdzierające krzyki. W tej chwili weszli trzej ludzie i rzeźbiarz padł przeszyty trzema ciosami sztyletu.

– W imieniu kardynała Cicognara – rzekł jeden z nich.

– To dobrodziejstwo godne chrześcijanina – odparł Francuz oddając ducha.

Posępni wysłannicy oznajmili Zambinelli o niepokoju jego protektora, który czekał u bramy w zamkniętym powozie, aby go zabrać, skoro tylko będzie wolny.

– Ale – rzekła pani de Rochefide – jaki związek między tą historią a starszkiem, którego widzieliśmy u państwa de Lanty?

– Proszę pani, kardynał Cicognara zabrał posąg Zambinelli i dał go wykonać w marmurze. Znajduje się dzisiaj w muzeum Albani. Tam, w roku 1791, rodzina Lanty odnalazła posąg i poprosiła Viena, aby go skopiował.

Portret, który pani ukazał Zambinellę w wieku dwudziestu lat, w chwilę po ujrzeniu go stuletnim starcem, posłużył później do „Endymiona” Girodeta; mogła też pani rozpoznać jego typ w Adonisie.

– Ale ten czy ta Zambinella...?

– Może być, proszę pani, jedynie wujecznym dziadkiem Marianiny.

Pojmuje pani teraz interes, jaki może mieć pani de Lanty w tym, aby ukryć źródło majątku, który pochodzi...

– Dosyć! – rzekła z rozkazującym gestem.

Przetrwaliśmy chwilę pogrążeni w najgłębszym milczeniu.

– I cóż? – rzekłem.

– Och! – wykrzyknęła wstając i przechadzając się wielkimi krokami po pokoju. Podeszła, popatrzyła na mnie i odezwała się zmienionym głosem. – Obrzydził mi pan życie i miłość na długo. Mimo iż nie tak potwornie, czyż wszystkie uczucia ludzkie nie kończą się tak samo, okrutnym zawodem? Kiedy jesteśmy matkami, dzieci zabijają nas złym prowadzeniem lub chłodem. W małżeństwie czeka nas zdrada. Jako kochanki, porzucają nas, opuszczają. Przyjaźń! Czy istnieje? Jutro zrobiłabym się dewotką, gdybym nie czuła, że potrafię zostać jak skała niedostępna pośród burz życia. Jeżeli przyszłość chrześcijanina jest również złudzeniem, przynajmniej pryska ono aż po śmierci. Niech mnie pan zostawi samą.

– Och – rzekłem – pani umie karać.

– Czyż nie mam racji?

– Nie – odparłem zdobywając się na odwagę. – Kończąc tę historię, dość znaną we Włoszech, mogę pani dać lepsze pojęcie o postępie dzisiejszej cywilizacji. Już się nie fabrykuje tych nieszczęśliwych istot.

– Paryż – rzekła – jest krainą bardzo gościnną; przygarnia wszystko, i majątki haniebne, i majątki krwawe. Zbrodnia i bezceństwo mają tu prawo schronienia, jedynie cnota nie ma tu swoich ołtarzy. Tak, czyste dusze mają ojczyznę w niebie! Nikt mnie nie zna tutaj! Dumna z tego jestem.

I margrabina zadumała się.

Paryż, listopad 1830.

Honoré de Balzac
Sarrasine
Tytuł oryginału:
Sarrasine

Redakcja: *Hanna Milewska*
Zdjęcie na okładce: *Andrzej Milewski*

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2018

Warszawa 2018

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl